TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 31. Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 16/28 kwietnia 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Ks. Gabryel Baudouin i szpital Dzieciątka Jezus w Warszawie (z dwoma drzeworytami). — Kronika tygodniowa.— Dr. Wilhelm Malcz (dokończenie). List Tadeusza Padalicy z Ukrainy (z trzema drzeworytami). — Kronika sztuk pięknych. — Korrespondencya od redakcyi. — Okropna noc w garderobie teatralnéj (ramotka). — Szachy i rebus.

Ks. GABRYEL BAUDOUIN

I SZPITAL DZIECIĄTKA JEZUS W WARSZAWIE.

Na ciemném tle dziejowém zeszłego stulecia występuje szczupły zastęp mężów jaśniejących blaskiem tém żywszym, im głębsze ciemności zaległy wówczas widnokrąg publicznego życia; a w pośród tych mężów rycerskiego ducha i męzkiego hartu, dziwnie uroczo zarysowywa się łagodna i spokojna postać księdza Baudouina, zbierającego opuszczone dziatki, budującego im wspaniały przytułek, użebranym przez siebie groszem.

Piotr Gabryel Baudouin, urodzony dnia 5 kwietnia 1689 r. we Francyi w mieście Avesnes, w departamencie du Nord, nie naszéj ziemi jest synem, ale obywatelstwo nasze pozyskał on tą miłością swoją, jaką ukochał najbiedniejszych naszéj ziemi: opuszczone dziatki; pozyskał je wreszcie swém działaniem kapłańskiém, szerząc i podtrzymując ducha chrześciańskiego, którego brak tylu nieszczęść stawał się powodem.

Piérwszą zapowiednią przyszłego powołania Baudouina był zamiar wstąpienia do zakonu kartuzów, po odbyciu tak zwanych nauk wyzwolonych. Wuj jego, kartuz, odwiódł go od tego zamysłu, wskazując inne zawody, w którychby mógł pożyteczniéj służyć krajowi. Nie wiemy, czy zakonnik dający taką radę, nie upatrywał w młodym swym siostrzeńcu powołania do surowego zakonu, czy chciał tylko wyprobować stałości jego zamiarów, czy téż wreszcie sam niepowołany, czujący przeto cały ciężar reguły, a pozbawiony jéj duchownych pociech, nie chciał podług swojego sposobu widzenia, nieszczęścia siostrzeńca; dosyć że ten posłuchał rad jego, udał się do Paryża i tam wstąpił do wojska.

Ks. GABRYEL BAUDOUIN.
Rysował Polkowski, rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.

Dusza Gabryela żądna była poświęcenia się; życie klasztorne było dlań najprzód ideałem ofiary, i z całą gorącością młodego ducha, chciał przyjąć ten stan wyrzeczenia się samego siebie. Wuj swojém rozumowaniem ostudził w nim ten zapał, pokazał inne obrazy poświęcenia w życiu społeczném i skłonił do przerzucenia się w drugą ostateczność, do obrania stanu wojskowego. Ale żołnierka nie odpowiadała usposobieniu jego duszy łagodnéj i cichéj. Wkrótce więc zamienił mundur żołnierski na sukienkę duchowną, wstępując do zgromadzenia księży missyonarzy w Paryżu (r. 1710 d. 10 kwietnia).

Nie znamy żadnych szczegółów z siedmiu piérwszych lat pobytu jego w zgromadzeniu; wiemy tylko, że był w Wersalu czas jakiś, a następnie do miasta Autun wysłany, pełnił obowiązki professora teologii w seminaryum miejscowém. Od r. 1717 rozpoczyna się druga połowa jego życia, którą na naszéj spędził ziemi, i tutaj zapoznajemy się z nim bliżéj. Miejscem jego służby i pracy był dom zgromadzenia księży missyonarzy warszawskich. Kolejno spełniał tu obowiązki professora teologii, dyrektora seminaryum, prokuratora i assystenta. Oprócz tego, wyuczywszy się wkrótce po swém przybyciu do Polski języka krajowego, oddawał się usłudze parafialnéj.

Cnotami i bogobojnością swoją zaświecił niezadługo ks. Baudouin w stolicy; najznakomitsze osoby szukać u niego poczęły porady i pociech religijnych, ale próżność nie zajrzała nigdy do pokornego jego serca. W ubogiéj swéj i połatanéj sutannie, z tym samym duchem niósł pańskim pałacom słowo ewangeliczne, z jakim biednym i cierpiącym podawał pociechę lub grosz miłości.

W życiu domowém ściśle pilnował się reguły zgromadzenia, a wspólne obowiązki domowe spełniał z pilnością najmłodszego brata; w późnym nawet wieku, gdy już był dygnitarzem i wysłużonym w zgromadzeniu, przełożony, aby go skłonić do przyjęcia małéj jakowéj na stare lata wygody, musiał się uciekać do rozkazu.

Zajmując się posługą parafialną, wiedział jakich niekiedy zbrodni dopuszczają się wyrodne matki względem owocu tajnych związków swoich. Zaradzenie złemu, ochronienie niewinnych ofiar, było nieraz przedmiotem jego rozmyślań. Przypadkowe spotkanie psa niosącego pokrwawione i świeże jeszcze szczątki niedojedzonego, a porzuconego nieopodal pod płotem dziecięcia, żywiéj wstrząsnęło jego umysłem i przyspieszyło urzeczywistnienie myśli, którą w duszy piastował. Wzruszony Baudouin staje przed przełożonym, ze łzami opowiada co widział i przedstawia mu zarazem swój zamysł otworzenia domu dla podrzutków, prosząc o zatwierdzenie i błogosławieństwo dla swojéj myśli.

Fundusz na wzniesienie takiego zakładu leżał całkowicie w kieszeni publiczności; odezwaniem się do jéj miłosierdzia, jałmużną, myślał ksiądz Baudouin zrobić wszystko. Na przeprowadzenie podobnéj myśli trzeba było niezmiernego zasobu cnót, przedewszystkiém zaś miłości i pokory, miłości, któraby podtrzymywała do wytrwania w ciągłém proszeniu, i pokory, któraby swą tarczą chroniła serce proszącego od obojętności, zimna, niechęci, a niekiedy i szyderstwa dających i niedających (*). Księdzu Baudouinowi nie zbywało na tych cnotach, kwesta więc szła dobrze, i w r. 1732 zebranym groszem mógł już kupić dom przy Kra-

(*) Z jaką miłością i pokorą odbywał swą kwestę ks. Baudouin, najlepiéj przekonywa powszechnie znany fakt spokojnego zniesienia zniewagi wyrządzonéj sobie przez rozgniewanego gracza. Ten który na prożbę o jałmużnę otrzy-

kowskiém Przedmieściu (dziś Karasia), w którym umieścił siostry miłosierdzia, poruczając im macierzyństwo nad opuszczonemi dziatkami. Liczba mieszkańców nowego zakładu mnożyła się szybko, bo ks. Baudouin przyjmował nietylko dzieci podrzucone, ale przyjmował je i od rodziców uciśnionych nędzą; dom więc wkrótce okazał się za szczupły. Potrzeba wywołała nowy plan. Ks. Baudouin postanowił wybudować obszerniejszy dom dla swoich sierot, uciekając się znowu do miłosierdzia ludzkiego.

Zaledwie z kwesty zebrał tyle, iż było czém rozpocząć nową budowę, ks. Baudouin wziął się do położenia fundamentów szpitalnych (r. 1754), resztę zostawiając Opatrzności. Ufnością w opiekę Bożą silny, rozpoczął budowanie nowego gmachu na wielką stopę, plac tylko i część materyałów zakupiwszy. Robotników ściągał do swojego dzieła nietylko zapłatą, ale żarliwém słowem swojém i łzą gorącą, którą z oczu wywoływało mu zawsze prawie wspomnienie wielkiéj boleści ludzkiéj: sieroctwa. I poczciwi robotnicy nieśli pracę swych rąk na wzniesienie nowego przybytku miłości.

Dziwnie silnym jest człowiek, gdy o sobie zapomni; dziwnie potężny głos jego, gdy płynie z piersi rozgorzałéj miłością. Ks. Baudouin pociągnął wszystkich do swego dzieła: królewicz Ksawery kładzie piérwszy kamień szpitalnych fundamentów; piérwsze w kraju rodziny widzimy w liczbie dobroczyńców zakładu, — a obok nich robotnicy biedni składają swój grosz wdowi, pracę swoję. Bez rachuby żadnéj naprzód, albo raczéj z rachubą na Opatrzność Bożą i miłosierdzie ludzkie, prowadził budowę ks. Baudouin, i nie zawiódł się. Ofiary przypływały ciągle. Zjechanie naprzykład samego króla Augusta III z licznym orszakiem panów na obejrzenie nowopowstającego gmachu przyniosło kilkakroć stotysięcy złp., gdyż każdy z obecnych za przykładem króla podpisał się wówczas na listę ofiarujących.

Po trzech latach stanął gmach obszerny, (którego drzeworyt załączamy na stronie 276) przeznaczony nietylko na schronienie podrzutków, ale nadto na szpital dla chorych i na czasowy przytułek dla biednych. Roku 1761 August III, opatrzywszy dostateczniejszém uposażeniem nowy zakład, przeznaczył go na szpital główny miasta Warszawy. Na sejmie koronacyjnym roku 1764 dobra Kręczki, Umiastowo, Klimonty i Falki, przeznaczone zostały na podniesienie zasobów szpitalnych. Opiekunami szpitala, podług erekcyi, byli królowie polscy, biskupi których juryzdykcyi duchownéj podlegała Warszawa (wówczas poznańscy), i wizytator zgromadzenia ks. missyonarzy. Wizytator mianował rektora szpitala i podług potrzeby go zmieniał. Rektor kierował całym zarządem szpitala; trzech kapłanów zajmowało się usługą religijną; siostry miłosierdzia trudniły się kuchnią, bielizną, odzieżą, utrzymaniem porządku i ochędóztwa domu całego. Kapłani również jak siostry miłosierdzia usługi swoje odbywali bez wynagrodzenia pieniężnego. Ks. Baudouin był piérwszym rektorem; na tém stanowisku doczekał on się śmierci, wśród ciągłéj pracy około biednych i cierpiących. Na kilka dopiero dni przed zgonem, starzec już siedmdziesięcioletni, gdy znacznie uczuł się osłabionym, zaprzestał swych prac i złożył urząd rektorski. Widocznie już wtenczas zbliżał się koniec jego żywota. Wieść o tém rozeszła się szybko po mieście; drzwi szpitala nie zamykały się odtąd przed natłokiem odwidzających i proszących o ostatnie przeżegnanie. W mężu bożym gasła już siła życia, lecz dawnym płomieniem gorzała jeszcze miłość Boga, ku któremu szedł, i miłość braci, których opuszczał. Drżącém słowem ukrzepiał, drżącą ręką błogosławił wszystkich; d. 10 lutego 1768 r., błogosławiąc sierotom otaczającym jego łoże, skonał bez boleści.

Ciało zmarłego pochowano w kościele św. Krzyża, wśród wielkiego zebrania ludu. W piérwszém poczuciu żalu zamierzono wystawić mu pomnik, i pozostał z tych czasów projektowany rysunek owego pomnika, który do skutku nie doszedł. W naszych czasach na nowo obudzono myśl uczczenia pamięci ks. Baudouina, a skutkiem jéj jest składka publiczna, zbierana za pośrednictwem redakcyi Kuryera warszawskiego, z któréj niedługo stanąć ma ochronka pod nazwiskiem ks. Baudouina dla cyrkułu I miasta Warszawy. Męża miłości chrześciańskiéj uczci tym sposobem pamięć publiczna nowym pomnikiem miłosierdzia.

Po śmierci ks. Baudouina, pierwotna organizacya szpitala Dzieciątka Jezus przetrwała aż do d. 1 maja 1839 r., w którym dawna administracya duchowna została rozwiązaną, a jéj czynności i cały zarząd przelano na radę szczegółową opiekuńczą szpitala. Do posług religijnych pozostali jak dawniéj kapłani ze zgromadzenia ks. missyonarzy(*), równie jak siostry miłosierdzia dla posługi chorych. Dla pomnożenia liczby łóżek dla chorych, w skutek projektu Najwyżéj zatwierdzonego, wydaną została summa złp. 210,000 z funduszów do dyspozycyi monarszéj na budżecie zachowywanych. W tym celu w znacznéj części nastąpiło przebudowanie gmachu, ukończone r. 1840. Od tego czasu szpital liczy 34 sal; dzieli się zaś pod względem lekarskim na dwa oddziały: 1) oddział podrzutków, 2) oddział chorych, z podziałem na chorych wewnętrznych, chorych przychodzących po radę, dzieci, chorych na oczy i kobiety obłąkane. Prócz tego w szpitalu znajdują się: 1) sale zimowe ogrzane dla przychodzących ubogich, gdzie dostają wieczerzę, nocleg i śniadanie; 2) instytut położniczy i 3) instytut szczepienia ospy. Fundusze szpitala stanowią: prowizya od kapitałów złożonych w Banku królestwa, na hipotekach i w skarbie, razem wynoszących 159,621 rsr. kop. 29; zasiłek stały coroczny ze skarbu królestwa w ilości rsr. 40,559 kop. 55; nadto z kass miejskich rsr. 20,600, oraz dochód z nieruchomości i czynszów, o ile widzimy w sprawozdaniu z r. 1858 wynoszący rsr. 3,448 kop. 20. Do dochodów niestałych zaliczają się: zasiłek jednorazowy skarbowy (jak w r. 1858 wynosił on rsr. 30,990), zwrot kosztów kuracyjnych, pospolicie nieznaczną summę stanowiący, ofiary, kwesty i t. p.

Myśl więc ks. Baudouina rozwinęła się do wielkich rozmiarów. Szpital Dzieciątka Jezus został największym szpitalem w Polsce, a przytém jedynym domem dla podrzutków. Część ta instytutu wiele pochłania dochodów. Roku 1858 na mamki same potrzebną była summa 33,000 rsr. Instytut, przyjmując na siebie obowiązki macierzyńskie względem opuszczonego dziecięcia, przedewszystkiem zważa na zachowanie jego życia i zdrowia, ztąd wzgląd pieniężny musi tu być z natury rzeczy podrzędnym. Liczba téż dzieci podrzucanych wzrasta z każdym rokiem. Od r. 1840, w którym podrzucono 695 dzieci, do r. 1858, w którym podrzucono ich 1898, postęp jest niezmiernie wielki. Taki wzrost nie da się dostatecznie wytłumaczyć stosunkiem wzrostu nieprawych urodzeń. Zarząd szpitalny w sprawozdaniu z r. 1844 i 1845 objawił z tego powodu obawę, czyli łatwość podrzucania niemowląt w każdéj chwili, przez zawsze otwarte koło, nie nastręcza występnym matkom sposobności zaparcia się dzieci prawego nawet pochodzenia. W skutek tego urządzono w r. 1847 biuro do jawnego przyjmowania niemowląt, pozostawiając jednak nocą otwarte koło. Zmniejszyła się wprawdzie liczba podrzutków tego roku, jednak daléj widzimy ją wciąż rosnącą, choć w stosunku nie tak szybko podnoszącym się jak przed r. 1847.

Wstrzymujemy się tu od wszelkich uwag, zdaje nam się jednak, iż środki roztropności niewiele tu pomogą. Zepsucie moralne i bieda są dwiema przyczynami podrzucania; im przeto stan zdrowia moralnego w społeczeństwie naszym będzie lepszy, im byt materyalny klass wyrobniczych podniesie się wyżéj, tém liczba podrzutków mniejszą będzie, lecz póki trwa złe, miłości zadaniem jest łagodzić jego skutki bolesne.

---

mał policzek, a jednak z pokojem i łagodnością umiał ponowić swą prośbę za sierotami, zaprawdę dobrym był kwestarzem.

(*) Nie piszemy tu historyi szpitala, podajemy jedynie wiadomość o jego założeniu i organizacyi; jednakże pominąć nie możemy milczeniem jednego z tych kapłanów szanownego zgromadzenia ks. missyonarzy, który swojém poświęceniem w niesieniu pomocy cierpiącym jest nam niejako żywém przypomnieniem ks. Baudouin'a. Kapłanem tym jest ksiądz Maciej Gorzkiewicz, b. wizytor zgromadzenia i pełniący obowiązki kapelana przy szpitalu Dzieciątka Jezus, dotąd jeszcze, pomimo wieku podeszłego, niezmordowany pracownik na polu chrześciańskiéj miłości.

Kronika tygodniowa.

Niezadługo w jednym z tutejszych kościołów uświęconém zostanie małżeństwo, którego zawiązaniu się dość dziwne, a przynajmniéj niezwyczajne, (jak na mało romansowy czas dzisiejszy) towarzyszyły okoliczności.

On, bo o nim najwpierwéj w toku opowiadania mówić mi wypada, o *niéj* późniéj się dowiecie, on tedy, jak znaczna część młodzieży tutejszéj, pracuje w jednem z biur rządowych.

Natura obdarzyła go bardzo miłą powierzchownością, Bóg dobrém sercem i niemałemi zdolnościami, matka poszanowaniem dla wiary ojców, koledzy szczerą życzliwością i przyjaźnią; w biurze zaś w którém pracował miał szczupłą pensyą rocznie i nadzieję awansu.

Otoż i cały jego portret, a wy czytelnicy zgadujcie, bo zapewne niejeden z was zna go osobiście.

Można go było co tydzień widzieć w jednym z kościołów tutejszych na niedzielnéj mszy, po skończeniu któréj rozdawał jałmużnę ubogim, bo choć Bóg mu dał niewiele, sam przecież z biedniejszemi się dzielił.

W tym samym kościele zawsze na jedném miejscu stał oparty o filar siwiuteńki staruszek, schludnie chociaż ubogo ubrany. Młodzieniec nasz zwykle przy wychodzeniu z kościoła spotykał go modlącego się pobożnie i wsuwał mu w rękę drobną jałmużnę, którą tamten przyjmował, dziękując swemu dobroczyńcy.

Owóż pewnego razu, kiedy młody człowiek oddalał się po udzieleniu swojego zwykłego datku, staruszek zatrzymał go:

— Mam do pana wielką prośbę, rzekł mu.

— Słucham.

— Oto pragnąłbym, żebyś pan był łaskaw pofatygować się ze mną do mojego mieszkania. Wszakże mi pan tego nie odmówisz?

Poszli więc razem.

Mieszkanie staruszka było na jednéj z ubocznych ulic na skromnéj facyatce. Stanowiły je dwa szczupłe pokoiki, ze sprzętem bardzo ubogim, ale odznaczającym się czystością i porządkiem.

Weszli do drugiego pokoiku.

— Oto moja córka, rzekł staruszek, przedstawiając gościowi swojemu młodą panienkę, zarumienioną z tych niespodziewanych widocznie odwidzin.

Młodzieniec, znając już drogę do mieszkania staruszka, powrócił tam raz, drugi i trzeci, a zawsze spotykał téż samę twarz prześliczną, uśmiechniętą na widok ojca, rumieniącą się na spotkanie z gościem.

Tylko że przy rumieńcu wyraz téj dziewiczéj twarzy, nie umiejącéj udawać, zdał się mówić że gość nie jest natrętnym, a dalsza rozmowa z panienką, rozmowa coraz bardziéj miła i zajmująca, potwierdzała w młodzieńcu naszym to przekonanie.

Podczas ostatnich świąt wielkanocnych, na ubogiém poddaszu skromne było zastawione święcone, a w około stołu zgromadziły się wszystkie trzy osoby należące do naszego opowiadania.

— Życzę panu ładnéj i dobréj żony, rzekł staruszek, dzieląc się ze swoim gościem święconém jajkiem.

Młodzieniec westchnął.

— Bo i czemuż pan się nie żenisz? mówił daléj gospodarz domu. Znam pański charakter, mógłbyś uszczęśliwić tę którą weźmiesz, a na późniejsze lata oglądać się nie warto, boć przecie najświętszym obowiązkiem rodziców wychować dobrze dzieci, a późno się żeniąc, nie można być tego pewnym.

— Z kimże się ożenię? czyliż fundusze moje starczą na utrzymanie żony?

— Ot wiesz pan co, mówił daléj staruszek, żeń się pan z moją córką, widzę żeście się sobie spodobali wzajemnie, a to rzecz w małżeństwie najważniejsza.

— Ależ...

— Już się pan nie kłopocz. Jak na początek daję mojéj córce 10,000 rsr. posagu, a o reszcie pomyślimy.

I stało się jak mówił. Staruszek ów jest majętnym człowiekiem, nie prosił on o jałmużnę, ale przyjmował ją, chcąc tym sposobem zbliżyć się do młodzieńca i poznać jego charakter.

Intercyza spisana, ślub ma się odbyć wkrótce.

Za prawdę tego opowiadania zaręczamy.

A teraz opiszemy wam fakt innego rodzaju, który także się w tych dniach wydarzył.

Na ostatni koncert w cyrku jakiś jegomość przyszedł kupić bilety dla siebie i dla rodziny. Prosił jednak, ażeby przed zapłaceniem pieniędzy dozwolono mu przyjść na próbę i obejrzéć numera, żeby się przekonać czy mu dogodnie będzie słuchać, bo jako wielki amator muzyki, nie chciał stracić ani nuty z wykonywanych utworów.

Zezwolono na to chętnie.

Jegomość nasz przyszedł wraz z rodziną na próbę, wysłuchał całéj muzyki, osądził że miejsca bardzo dogodne, i... nie zgłosił się już więcéj po bilety na sam koncert.

Snadź zauważał, że być na saméj próbie daleko jest wygodniéj i taniéj.

Polecamy czytelnikom ten niekosztowny sposób przysłuchiwania się dobréj muzyce.

Redakcya Tygodnika otrzymała w tych dniach list z Petersburga, od Litwinek w tém mieście zamieszkałych, z prenumeratą na dziesięć egzemplarzy dzieła Szajnochy *Jadwigą i Jagiełło*.

List ten zawiera także pożądaną wiadomość, że tam w kilku jeszcze miejscach zbiera się prenumerata na toż samo dzieło.

Każdy objaw współczucia, jakie taki zasłużony pisarz jak Szajnocha obudza w narodzie, pięknym jest i zaszczytnym dla tych, którzy go ocenić potrafią.

W teatrze Wielkim wzięto już podobno do nauki tłumaczony wiérszem dramat Wiktora Hugo *Burgrafowie*, przekład Kaźmirza Kaszewskiego, znanego i zasłużonego już na tém polu pracownika. Tym razem zwrócił się on od Greków do francuzkiego mistrza, a scena nasza zyskała na tém. Do dramatu tego p. Dobrzyński dorobił muzykę; składać się ona będzie z introdukcyi, chóru początkowego i śpiewów osobnych. Przedstawienie więc *Burgrafów* będzie miało podwójny powab dla lubowników sceny, a bogdajby wpłynęło ono na ożywienie zamiłowania do dramatów, które dotąd u nas bardzo kulawą jeszcze stąpają nogą.

W każdym razie jednak dwa ostatnie pełne widowiska, jakie uczynił *List żelazny*, dobrą są i pocieszającą przepowiednią, bo smutnémby było, żeby dzieło tak wielkiéj zasługi, nie utrzymało się w repertoarze. Komedya nasza zrobiła także w tych dniach pożądany bardzo nabytek: pan Linkowski policzony już został stale do grona naszych artystów, i nowy ten zapaśnik silnie wzmocni grono tych kilku utalentowanych a sumiennych przewodników, na których powodzenie sceny naszéj wyłącznie prawie dotychczas polegało i polega. Wiadomo bowiem że w teatrze więcéj niźli gdziekolwiek wielu jest powołanych, ale wybranych mało.

Za to teatrzyk Dobroczynności, urządzony, jak już o tém donosiliśmy, na kilka stałych rocznych przedstawień, z podwójną energią bierze się do dzieła. Utworzono z grona członków, pod prezydencyą J. I. Kraszewskiego, osobny komitet, kierujący przedstawieniami, które mają być dane na dobroczynne cele, i kilku autorów uproszonych zostało o zasilenie teatrzyku oryginalnemi sztuczkami. Na ostatniém posiedzeniu czytano komedyjkę, albo raczéj obrazek napisany prozą przez p. Ilnicką, i utwór ten ogólny zyskał poklask. Wzięte to z obecnego życia, a prowadzone z zajęciem i żywością wielką. Dowcipu tam pełno, a dowcip ten jeszcze lepiéj odbija przy prawdziwém uczuciu, jakiém niektóre ustępy téj sztuczki są nacechowane.

Mianowicie sztuczka ta odznacza się stylem lekkim, wdzięcznym, naturalnym, a jednak bardzo poprawnym. Wyborny to nabytek, i bogdaj dalsze spodziewane prace, mogły się stosować do tego pięknego początku. Pan Chęciński podjął się utworzenia *Nowego teatru*, to jest wyboru scen oderwanych a stanowiących jednak pewną całość w sobie, jak takich przedstawień mieliśmy kilka w naszym teatrze Rozmaitości. Sam napisał już pierwszą scenę oryginalną wiérszem, a scena ta stanowi niejako osobne intermezzo, zręczne, dowcipne, umiejętnie poprowadzone. Teatr Rozmaitości mógłby także z niéj korzystać, zwłaszcza że na odegranie jéj potrzeba dobrych aktorów. Ale zaradzi się temu, bo pomiędzy amatorami ofiarującemi swoje usługi teatrzykowi Dobroczynności jest kilku z prawdziwym talentem i niejaką już wprawą sceniczną.

Dobry to pomysł, zasilanie teatrzyku Dobroczynności samemi oryginalnemi sztuczkami, a jest nadzieja że ich nie zbraknie, bo autorowie będą sobie mieli oznaczone pewne stałe od dochodu wynagrodzenie. Isłusznie, bo ponieważ oryginalne sztuki wpłyną niewątpliwie na powiększenie dochodu, zapłata autorska liczoną być powinna do zwyczajnych kosztów. Komitet tajném głosowaniem wyrokować będzie o wartości dzieł scenicznych.

W cyrku ma miéć miejsce trzeci koncert, w którym, jak słyszeliśmy, ma wziąć udział pani Kalergis. Donoszą nam także, iż młody skrzypek Lotto, zaszczytnie już znany ze swego talentu, spodziewany jest wkrótce w Warszawie i ma również uczestniczyć w tym koncercie. Na otwarcie zaś Instytutu muzycznego, które ma miéć miejsce w lecie, zaproszone są podobno niektóre znakomitości europejskie, jak: Meyerbeer, Liszt i t. d. Ze wszech miar więc ciekawa to będzie uroczystość.

Mówiono nam również o innym projekcie, którego wprowadzenie w czyn może od razu dokompletować całą summę na Instytut potrzebną.

Pani K*, znakomita i znana ogólnie amatorka, która każdy swój pobyt w naszém mieście znaczy dobremi i szlachetnemi uczynkami, przybrawszy sobie w pomoc utalentowanych i znanych już z nazwiska amatorów, pannę S* panią Z*, pana S*, ma zamiar objeżdżać w lecie główniejsze miasta królestwa i dawać w nich koncerta na korzyść Instytutu. Nie wątpimy że to wędrowne towarzystwo znakomitych amatorów, jedyne może w swoim rodzaju, potrafi poświęceniem swojém zapewnić Instytutowi dochód o wiele nawet żądaną summę przewyższający.

Gazety donosiły już u nas o nowém piśmie tygodniowém, pod tytułem *Kmiotek*, mającém wychodzić nakładem M. Glücksberga, pod redakcyą J. K. Gregorowicza. Będzie to pismo czysto ludowe, ozdobione drzeworytami, a cena jego, jak słyszeliśmy, nawet złotówki na miesiąc nie ma wynosić. Taka taniość jest najlepszym podobno sposobem rozpowszechnienia u nas pisma, a nazwisko głównego redaktora poręcza nam za jego wartość i umiejętne zastosowanie do potrzeb i wymagań ludowych.

Niemniéj pocieszającą jest wiadomość o założeniu drugiego nowego Żłobka czyli domu przytułku dla niemowląt przy ulicy Wielkiéj pod nr. 1442. Żłobek ten został już uroczyście poświęcony i przyjmować będzie pod opiekę obojga płci dziateczki biednych wyrobników chrześciańskich.

O nowiny miejskie nie pytajcie. Każdy z nas całemi piersiami wciąga w siebie świeże, ocieplone powietrze i wzdycha za zielonością wiejską, za roskoszami sielankowemi i cichém ustroniem. Już najpiérwsza z rzędu tych wszystkich zamiejskich sielanek, pielgrzymka czerniakowska, niebardzo od nas daleka, wkrótce się rozpoczną majówki, saski ogród się zapełnia, a droga zwirowana w alejach królewskich turkocze pod ciężarem powozów, obwożących piękny nasz świat po ulubionéj jego przejazdce. Na Wiśle, jak nam Kuryer donosił, ma podobno powstać wyspa jakaś czarodziejska, na któréj nowy Monte-Christo zakłada traktyernią i ogród do przechadzki; cichy szmer wód będzie towarzyszył muzyce ogródkowéj, od czasu zaś do czasu z gondol weneckich otaczających wyspę odzywać się będą dźwięczne śpiewy rybackie. O Warszawo! szczęśliwaś na lądzie i na wodzie, wszystkie żywioły na twoje usługi, a wszędzie będziesz mogła dostać raków, szparagów i kurcząt. Los twój godzien zazdrości, o Warszawo! byleś w obec tych wszystkich przysmaków niestrawności się strzegła.

Przynajmniéj że Francuzi choć raz nam oddają sprawiedliwość. Chwalą bardzo w jedném ze swoich pism operę Flis, do któréj muzykę, jak owo pismo opiewa, utworzył pan Bogusławski, znany kompozytor muzyczny polski. Widocznie recenzent musiał tylko słów téj opery słuchać, a ponieważ język nasz bardzo melodyjny, brał je za muzykę. To mi przypomina, że jakiś Francuz w opisie gór karpackich powiedział, że istnieją tam pasterze, „którzy noszą miejscową nazwę Tatrów.“ Ani słowa, piękny ród tych pasterzy, chłop w chłopa nie żartem. Coby to za wojsko z nich było, gdyby ich chciano zawartować!

Dr. Wilhelm Malcz.

(Dokończenie).

Od roku 1832 do 1841 trzymał Malcz w dzierżawie od Juliana Ursyna Niemcewicza, a potém od skarbu królestwa, pałacyk letni, zwany Ursynów, o milkę za rogatkami mokotowskiemi, przed Willanowem. Tam w lecie używał wieczorem wytchnienia po całodziennéj pracy, tam w gronie rodziny, w gronie dziatwy swojéj, przyjmował przyjaciół i znajomych, przyjmował różnych przejeżdżających cudzoziemców, pracą, nauką znakomitych. Tam... Ale kto ciekaw ówczesnego życia ursynowskiego, niechaj zajrzy do „Wieńca“ dla Jachowicza (Tom III, str. 369 do 375). Myśmy od rogatek mokotowskich nawrócili na ulicę Marszałkowską, a daléj na aleję Jerozolimską i ulicę Bracką. Dworzec kolei żelaznéj i szpital Dzieciątka Jezus bardzo mi się podobały.

— A to co za kościół i gmach wspaniały? zapytałem, gdyśmy przybyli na koniec ulicy Mazowieckiéj. Czy i z temi budowlami łączy się także pamięć Malcza?

— Bardziéj niż z innemi, była odpowiedź, bo oto pałac Towarzystwa kredytowego ziemskiego, w którym mieści się i Towarzystwo rolnicze; a właśnie Malcz, jako blizki przyjaciel Kajetana Garbińskiego (b. dyrektora instytutu politechnicznego i piérwszego redaktora „Roczników gospodarstwa krajowego,“) był jednym z głównych założycieli wydawnictwa tychże roczników. Tuż obok zaraz widzisz kościół ewangelicko-augsburgski, którego gmina obrała roku 1834 Malcza prezesem swego kollegium. Był nim przez lat 18, aż blizko do zgonu swego. Co zaś przez ten czas zdziałał dla gminy, o tém świadczą te wszystkie gmachy.

Ten stary, na zachód od kościoła, mieści w głębi swojéj Dom starców gminy ewangelicko-augsburgskiéj oraz dom jéj sierot. Obydwa stanęły ze składek, gorliwém staraniem Malcza rozpoczętych. Gdy szkółka dla chłopców wyznania ewangelicko-augsburgskiego, i pensya panien dla wszystkich wyznań, obiedwie przy tym kościele kosztem gminy utrzymywane, nie mogły już objąć napływu młodzieży, Malcz postanowił wybudować oddzielny gmach na szkołę. Tą razą nie udał się do zwyczajnego trybu zbiérania ofiar i składek. Zamiast prosić, zamiast zbiérać podpisy, Malcz powziął myśl oryginalną: rozpoczęcia budowy szkoły *bez żadnego wcale funduszu*. Wydał akcye po 500 złp. ze swoim podpisem, i oto... w mgnieniu oka tak je rozebrano, że we dwa dni bezskutecznie już po te akcye przysyłano do niego. Tym sposobem stanął gmach dwupiętrowy od ulicy Królewskiéj, przeszło 80,000 złp. kosztujący.

Co zaś do samego kościoła, w sali na 1ém piętrze nad zakrystyą odbywały się owe posiedzenia kollegium kościelnego, na których Malcz, jako prezes, kierował obradami dla dobra współwyznawców. Jemu głównie zawdzięcza gmina zaprowadzenie coniedzielnego nabożeństwa w języku polskim. Nawet te sławne organy, których głos pod mistrzowską ręką Freyera tak budująco po obszernéj świątyni się rozlega, winne są naprawę swoję staraniom ukochanego prezesa gminy.

— A teraz dokąd? panie, zapytał się dorożkarz.

— Na Leszno, odpowiedział mój przyjaciel. Przeszliśmy pieszo przez ogród Saski, a wsiadłszy na placu Saskim do powozu, udaliśmy się ulicą Wierzbową na plac przed teatrem, a daléj Senatorską na plac bankowy.

W oficynie pałacu ordynata Zamojskiego od ulicy Żabiéj, przyjaciel mój pokazał mi lokal, w którym na lat kilka przed rokiem 1830 była drukarnia i księgarnia A. Gałęzowskiego. Założyli ją akcyonaryusze, a między nimi i Malcz, dla upowszechnienia dzieł użytecznych po cenie jak najniższéj. Akcyonaryusze ci wyprzedzili więc pomysłem swoim teraźniejsze zawiązki spółek książkowych o lat z górą 30. Małżonek nieodżałowanéj pamięci Klementyny z Tańskich Hoffmannowéj i Stanisław Janicki, doktór filozofii, szwagier Malcza, byli duszą tego przedsięwzięcia. Wyszło téż z tego zakładu niemało dzieł, pism i pisemek, poważnych i popularnych, zacząwszy od Zbioru pisarzy polskich, Sylwana, Pamiętnika lekarskiego, Pamiętnika warszawskiego umiejętności czystych i stosowanych, L. Szyrmy „Anglii i Szkocyi“, R. Hubego „Zasad prawa kryminalnego,“ Temidy

polskiéj, Tabel statystyczno-historycznych Rodeckiego, aż do Bajek Jachowicza, Nowych rad dla kobiét, i Kalendarza Gałęzowskiego (późniéj Janickiego). Wprawdzie zakład ten, równie jak wyżéj wspomniona pensya dla płci żeńskiéj przy kościele ewangelickim, z przyczyn od Malcza niezawisłych, późniéj zaginą, dopóty o istnieniu zakładu naszego wątpić nie mamy potrzeby."

Jużeśmy mieli siadać do powozu, gdy zaproszono nas do kancelaryi rady opiekuńczéj szpitala, gdzie z radością ujrzałem oblicze Malcza, kopią portretu znajdującego się u jego rodziny, z którego zdjęty jest piem na ulicę Przejazd, na któréj rogu stoi pałac Mostowskich (Komissya rządowa spraw wewnętrznych i duchownych). W tym pałacu, na posiedzeniach rady lekarskiéj, oraz rady głównéj zakładów dobroczynnych, nieraz Malcz głos podnosił. Był obydwóch (bezpłatnym) członkiem, i jak w razie grasujących

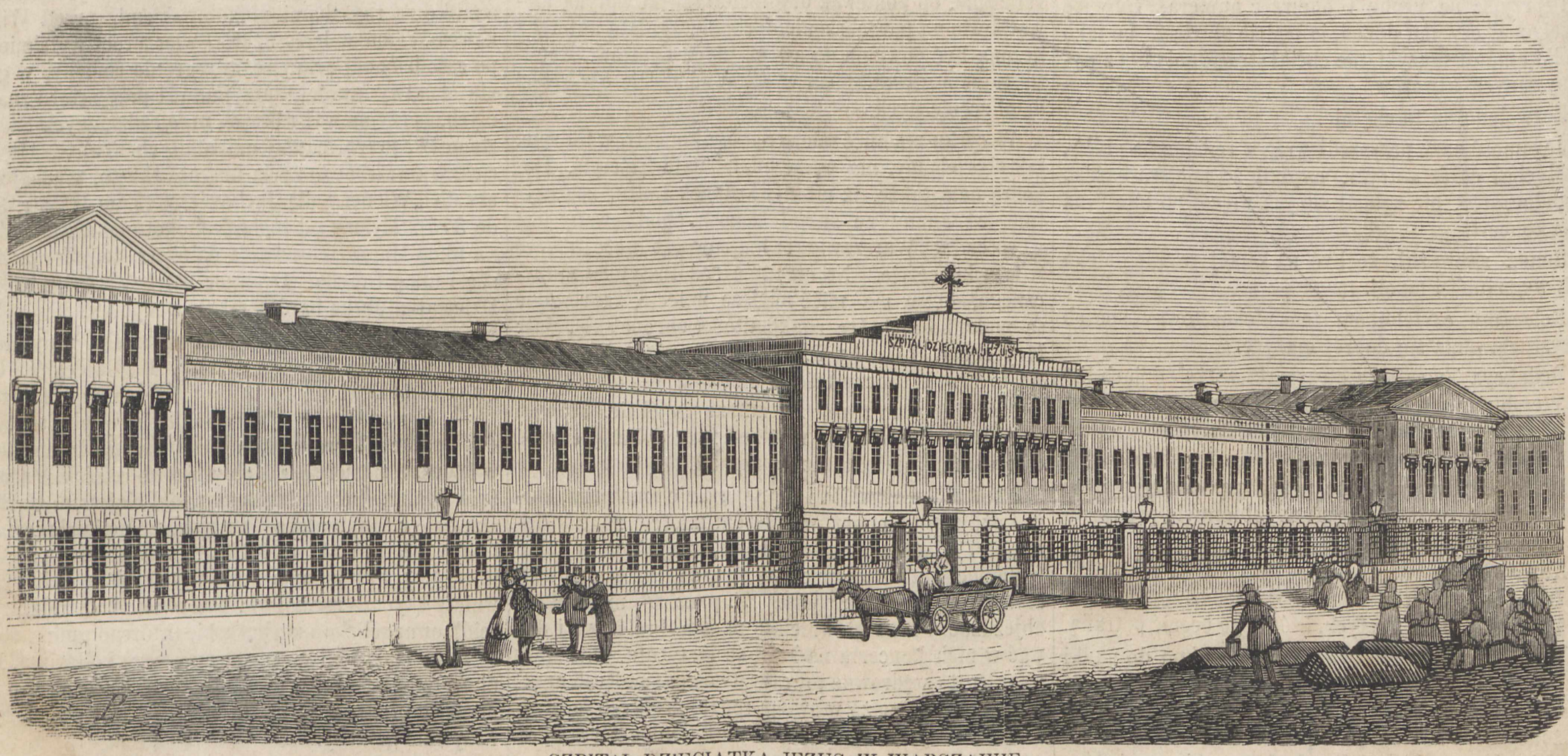

SZPITAL DZIECIĄTKA JEZUS W WARSZAWIE.
Rysował Piechaczek, rytowano w drzeworytni Tygodnika.

istnieć przestały; atoli zasługi jego w téj mierze ciągle w pamięci ziomków pozostaną.

Z Leszna wjechaliśmy na prawo w boczną ulicę, zwaną Karmelicką. Na jéj końcu spostrzegłem jednopiętrowy gmach, z napisem: „Szpital ewangelicki." Tuśmy wysiedli.

Dziś instytut ten nie zadziwia swojém wzorowém urządzeniem; bo od lat 23, jak istnieje, dźwignęły się olbrzymio wszystkie inne szpitale warszawskie, tak iż należą do najlepiéj urządzonych w Europie. Ale roku 1837 był ten szpital nowością: stanął jako wzór dla innych, a stanął ręką, staraniem, poświęceniem się Malcza, który, jako prezes gminy ewangelicko-augsburgskiéj, dom tutejszy lichy, niezdrowy, szczupły, zamienił w jasny, zdrowy, obszerny i pod każdym względem dogodny przytułek dla chorych. Prawda, że sam stanął na czele składek z ofiarą 20 tysięcy złp.; prawda, że jako lekarz, uważał to sobie za punkt honoru, aby w budowie szpitala tego zjednoczyć wszelkie najnowsze ulepszenia, jakie postępy sztuki lekarskiéj wskazywały w urządzaniu tego rodzaju zakładów miłości chrześciańskiéj; prawda, że miał w przedsięwzięciu swojém wielu zacnych pomocników, ale też ogół wpływu urósł do 120,000 złp. i stanął gmach dla 75 do 100 chorych, otwarty (za małą opłatą) dla wszystkich wyznań chrześciańskich, w którym dziś zwykle liczba katolików przewyższa znacznie liczbę protestantów.

Serdeczny przyjaciel Malcza, Dr. Ferdynand Dworzaczek, był piérwszym zakładu tego lekarzem, dopóki poświęcenie się dla dobra cierpiącéj ludzkości nie przyprawiło go nagle o stratę wzroku. Czcigodny ten mąż, czynny dotąd nawet w zaciszu swojém (wiosce Topoli pod Łęczycą), znalazł późniéj godnego następcę w doktorze Tytusie Chałubińskim. Teraz lekarzami tego szpitala są doktorzy Libchen i Miler. Jest on najpiękniejszym pomnikiem dla Malcza, który przy otwarciu tego przybytku miłosierdzia (dnia 18 września 1837 roku) wyrzekł pamiętne słowa: „Duch czystego chrześciaństwa zachowa zakład ten w najpóźniejsze wieki, a potomkowie nasi poczytają sobie za najświętszy obowiązek wstępować w ślady przodków swoich. Dopóki, święte słowa ewangelii nie

ŻEBRACY UKRAIŃSCY.
Rysował Podbielski, podług Przyszychowskiego, rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.

załączony w Nrze 30 Tygodnika drzeworyt. Wybornie (według zdania tych co go znali) oddanym jest na nim ów lekki uśmiéch, ów wzrok pełen życzliwości i pogody, którym Malcz pacyentów swoich czarował; i dziwnie portret ten odbija od wizerunków i popiersi Malcza, utworzonych na podstawie maski, zdjętéj ze zwłok życia już pozbawionych. Rzecz szczególna, iż przy takiéj liczbie miejscowych artystów, posiadamy tak mało wizerunków trafionych Jachowicza i Malcza, pomimo iż rysy twarzy obydwóch były tak piękne i wyraziste, i że ich, przez lat przeszło 30, każdy mógł widzieć codziennie na ulicach Warszawy.

Ze szpitala ewangelickiego udaliśmy się Nowolichorób epidemicznych z gorliwością należał do uchwał rady lekarskiéj, tak w radzie głównéj wspiérał całą duszą szlachetne zamiary ówczasowego jéj prezesa (Fryderyka hr. Skarka), a w szczególności uorganizowanie roku 1843 w całym kraju tak zwanych „Dozorów parafialnych" których powołaniem jest „czuwanie nad potrzebami ubogich, zarząd domów schronienia i ogólna opieka nad ubogimi starcami, kalékami i siérotami."

Jakiém skromne te i w cichości działające grona stały się dobrodziejstwem dla kraju, to swego czasu potomność oceni.

Boczną ulicą, prowadzącą na Nalewki, stanęliśmy przed kratą ogrodu Krasińskich i weszliśmy do tego ogrodu. Pałac Krasińskich (siedziba najwyższego sądownictwa) ukazał nam się w całéj swéj wspaniałości. Na prawo widać była oddzielony kratą ogródek sztucznych wód mineralnych, którego Malcz był szczególnym orędownikiem i zwykle tu co drugi dzień o 7méj zrana pijących wody nawidzał.

Przeszliśmy ulicą Miodową przez dom Rezlera na Krakowskie-Przedmieście, a mój przyjaciel pokazał mi (blizko Bernardynów) Towarzystwo dobroczynności, w którém Malcz, jako wice-prezes wydziału siérot i ochron, wspiérał całém sercem czcigodnego prezesa Piotra hr. Łubieńskiego, Jachowicza i Janikowskiego, w urządzeniu piérwszych ochron dla dzieci i w rozwinięciu szkółki dobroczynności; a zawsze i wszędzie niósł czynną pomoc w razie klęsk krajowych, powodzi, cholery i t. d.

Oto na poprzek ulicy stojąca 3-piętrowa kamienica Malcza (Nr. 372), w któréj przez tyle lat mieszkał Dr. Dworzaczek. Cenimy trafność myśli nowonabywcy, który literę M., na czole kamienicy umieszczoną, nienaruszoną pozostawił.

Skręciwszy z Krakowskiego Przedmieścia na ulicę śto. Krzyzką, spotkaliśmy kilku uczniów akademii lekarskiéj, i właśnieśmy rozmawiali o nowo-mianowanych jéj professorach, kiedy przyjaciel mój nagle zamilkł i stanął.

— To jest, rzekł do mnie cichym głosem, dom Malcza, w którym mieszkał i życie zakończył.

Jestto jednopiętrowa, skromna kamienica, o 7 oknach na piętrze, liczbą 1339 oznaczona. Tu codzien-

nie od 6éj do 8éj rano, a od 3éj do 5éj wieczorem, widziałeś schody napełnione cierpiącemi. Wszystkich niezamożnych, garnących się do nauk, wszystkich byłych wojskowych, wszystkich jakąkolwiek styczność z stanem lekarskim mających, wszystkich ubogich bez różnicy wyznania, Malcz nietylko leczył bezinteresownie, ale wspierał hojnie radą, opieką, czynem, bezzwłocznie i w sposób najdelikatniejszy.

Kiedy w lecie 1852 wybuchła w Warszawie cholera miasto to dziesiątkująca, kiedy na wszystkich ulicach spotykałeś tylko trumny, pogrzeby, śpieszące wozy choleryczne, a wszędzie gdzieś się tylko obejrzał grubą żałobę, wtedy Malcz, jak wódz latający wśród zamętu bitwy od oddziału do oddziału, gdzie największe zagraża niebezpieczeństwo, spieszył od 4 rano do saméj północy na ratunek miastu swojemu rodzinnemu. Bóg nie dozwolił mu paść od razu na pobojowisku. Po 4 tygodniach ciężkiéj walki, dotknięty sam cholerą, przeżył dzień 16 sierpnia 1852 r. Ale z cholery wywiązał się skir wątroby, i najzacniejszy z ludzi konał przez trzydzieści kilka dni i nocy, aż wreszcie d. 28 września 1852 r. około godziny 9 wieczorem, spokojnie w Bogu zasnął. Łoże boleści otaczała: czcigodna małżonka, 3 synów, 3 córki i 7-letnia przybrana sierota.

Za pogrzebem Malcza, który się odbył d. 1 października 1852 r., udała się prawie połowa Warszawy na cmentarz ewangel.-augsburgski. Tam téż wdzięczna gmina prezesowi swemu pomnik postawiła.

LIST

TADEUSZA PADALICY

Z UKRAINY.

Tygodnik Illustrowany ma u nas powszechne współczucie i zasługuje na szczére podziękowanie za redakcyą staranną. Pozwalam sobie napisać do was te słów kilka i dodać, że największą zaletę Tygodnika stanowi charakter jego miejscowy, a więc oryginalny. Wié każdy że nie jesteśmy w stanie dorównać Illustracyom zagranicznym massą drzeworytów, lecz zamieszczając je w mniejszéj ilości, robicie dobry wybór i dajecie robotę staranną.

Nasz Tygodnik ma przed sobą bogate i nietknięte jeszcze pole rysowania własnego kraju, zkąd długo czerpać może ciekawe materyały. Albumy co się ukazały u nas, zwróciły wyłącznie prawie uwagę na kościoły, obrazy i miasta, a nie tknęły wsi, typów ludowych, ubiorów wiejskich, scen obyczajowych, nie przerysowały naszych wiosek, chat, lasów, stepów, wód, ani miejsc historycznych. Te wszakże rzeczy dają wyobrażenie o kraju i jego mieszkańcach i o te starać się nam trzeba. Rysunków hoteli, ulic, pałaców, debarkaderów, paltotów, krynolin i kapeluszów, mamy do zbytku w Illustracyach zagranicznych.

Te myśli nastręczyły mi się, gdym przeglądał wyszłe dotąd numera Tygodnika Illustrowanego. Literaci i rysownicy nasi, rozsypani po kraju, jakże mogliby mu zostać użyteczni! O Ukrainie np. gdzie mieszkam tyle już pisano, tyle pięknych mamy ztąd poematów, a któż zna choć z rysunku jéj okolice, stepy, lasy, wsie z charakterystycznemi cerkwiami o trzech krzyżach? kto przerysował oryginalną chatę tutejszego wieśniaka, uroczysko z kurhanem, dworek szlachecki, kościołek parafialny, młyn, futor ocieniony kaliną i bzami, wreszcie typy i ubiory ludowe, ślepego lirnika, czumaka idącego przez stepy przy swéj maży, dziewczynę z monistem na szyi i głową ubraną we wstążki i kwiaty i t. d.? To są rzeczy których jeszcze nie dotknął ołówek, a których nie znajdziemy w żadnéj Illustracyi zagranicznéj; naszym więc obowiązkiem zebrać je i pokazać.

Na Ukrainie, w okolicy gdzie mieszkam, bawią obecnie dwaj artyści, którzy współczując pismu wa-

ŻEBRACY UKRAINSCY.
Rysował Podbielski, podług Przyszychowskiego, rytował G. Röber w drzoworytni Tygodnika.

szemu, postanowili zasilać je od czasu do czasu pracami tego rodzaju, wyjętemi ze swéj teki. Pora przeszkadza jeszcze w téj chwili zbiérać krajobrazy i typy ludowe, lecz mają oni zamiar zrobić artystyczną wycieczkę podczas wiosny do miejsc znakomitszych, i wtedy ciekawe niezawodnie zbiorą materyały. Wiedząc o dobrych ich chęciach dla waszego pisma, mogę was zapewnić że z tych zbiorów udzielać będą charakterystyczne wyjątki dla *Tygodnika*. Dziś przesyłam drobniejszych prac kilka, z krótkim do nich tekstem.

Żebracy ukraińscy.

Żebrakami na Ukrainie, jak wszędzie, zwykle są starcy i kaleki. Wielu z nich byli i lirnikami i śpiewakami razem, lecz dziś lira i pieśń wychodzi z użycia i rzadko da się spotkać taki rapsodysta ludowy. Niegdyś przypisywano im kompozycyą historycznych dum ukraińskich, lecz głębsze zastanowienie się nad charakterem tych pieśni przekonało, że oni zwykle byli tylko spiéwakami, a układały się te dumy i pieśni przez współczesnych świadków, niekiedy nawet przez uczęstników opiewanych wypadków. Lirnik ukraiński, często ślepy, chodził ode wsi do wsi, siadał przed cerkwią lub na jarmarkowym bazarze i śpiewał przygrywając na lirze, a przechodzący dawali mu jałmużnę. Towarzyszył mu zwykle chłopczyna, jaki sierota, którego on brał na naukę i przyzwyczajał do życia tułaczego, do znoszenia niewygód, głodu i zimna. Niegdyś tacy lirnicy, uciuławszy trochę grosza, osiadali w jakiéj ludnéj wsi, kupowali chatę z ogrodem i zakładali szkołę żebraków młodych. Lud ukraiński nie widzi w takim żebraku nędzy i kaléctwa, nie patrzy nań z uczuciem politowania, ani ze wstrętem; on go uważa za istotę konieczną w społeczności i według jego pojęć, ubogi żyje na ziemi dlatego, ażeby przypominał ludziom przykazania Boże względem cierpiących bliźnich. Życie tych starców, przez kaléctwo samo, wyłącza się już z warunków zwyczajnego ludowego bytu. Według pięknéj myśli jednego małoruskiego pisarza Kulesza, są oni jakby umyślnie stworzeni na to ze znamieniem ślepoty, ażeby zagłębiając się w sobie, rozwinąć dar myślenia i owoce tych myśli wnosić do serc ludu, zapładniając je religijno-filozoficznym elementem, a tym sposobem moralne jego życie podnosić do właściwéj mu sfery.

Na jakim stopniu zapomnienia jest dziś ślepy śpiewak ludowy, daje nam przykład p. Kulesz, cytując wyrazy jednego z nich, Archypa Nikonenka. Opowiadając mu o kłopotach domowego życia, o żonie swarliwéj i pijanicy, starzec dodaje: „Mniejsza wreszcie o to, a jeślibym na niedzielę nie miał kobzy przy sobie, to górybym wytopił! (Bóg nie wié cobym gotów był zrobić). A żona mi ani w głowie. Często wstanę sobie w nocy i gram a gram samiuteńki....

„Teraz, widzicie, *mali* zaczęli być starcy, nic nie umieją. Zacznij go uczyć, a on i słuchać nie chce. „Wszystko to, mówi, kłamstwo. Wasi ojcowie łgali i wy łżecie.“ A i tak się zdarza niekiedy, że jak gdzie zaskoczą naszego brata na gościńcu, to go i wytłuką. Cóż to za kłamstwo, kiedy tak właśnie było! Sami nic nie rozumieją i nas bałamucą jeszcze. Kiedyś tak było, że co nam powiedzą na żart, my to bierzem n . rozum: to jest, że co nam powiedzą dla śmiéchu, my słuchamy pilnie. A teraz—przyjdzie do ciebie żeby się nauczyć... Jakże go uczyć, kiedy ono... Oto dobrze było jak byliśmy pokorni, a co nam powiedzą na żart, to my bierzem na rozum. A dziś, jak się tylko nauczy, jak o chléb prosić, to i pociągnie w świat sobie... Bywało stary kobzarz posadzi mię obok siebie. Choć nie bardzo chciało się słuchać,—a teraz i z tém dobrze co się nauczyło—i tém zarobisz kopiejkę... Teraz i rodzonego dziecka nie nauczysz—tak się zrobiło na świecie... Jeden Bóg i jedni ludzie—a niejednako się dzieje.“

Damy później *Tygodnikowi* obraz ukraińskiego lirnika, jak tylko odszukamy go w okolicy. Latem można ich spotykać niekiedy na jarmarkach, zimą zaś siedzą oni gdzieś w głuszy wiosek. Szkic który tu przedstawiamy wyobraża ślepe chłopię ukraińskie, w towarzystwie równego mu malca, przewodnika. P. K. Przyszychowski przerysował obydwóch z natury, w powiecie czehryńskim. Rysunek ten odznacza się wybornem powtórzeniem typowych rysów oblicza ukraińskiego ludu.

Drugi rysunek przedstawia:

Starą kobiétę, wieśniaczkę na Ukrainie.

Jest to wierny przerys wieśniaczki ukraińskiéj; zrobiony podobnież przez p. K. Przyszychowskiego w powiecie czehryńskim. My, co znamy te typy, zaręczamy iż powtarza on artystycznie jego charakterystyczne cechy. Twarz, ubiór, postać cała, są wiernie wzięte z natury. *Mołodyca* (kobiéta) ukraińska inaczéj się ubiéra. Moda i tu w strojach zrobiła zmianę; lecz staruszkowie trzymają się dawnéj, choć dziś już te postacie są wyjątkowe. Spotkać je można tylko w cerkwi i niekiedy, podczas świąt, siedzące na przyźbie przed chatą. Wyróżnia je nadewszystko strój na głowie, nazywający się *namitką*. Jest to rodzaj cienkiego, domowéj roboty muślinu, który w kształcie długiego welonu noszą z tyłu głowy okrytéj oczepkiem. Zamiast zwyczajnéj spódnicy, kobiéta na Ukrainie nosi kolorową płachtę, któréj deseń bardzo przypomina desenie kobierców azyatyckich. Koszule lud ukraiński nosi zwykle wyszywane czerwoną *zapołoczą* na brzegach i na rękawach; lecz stare kobiéty nie używają tych ozdób. Płachtę przewiązują pasem, zwykle czerwonym, a na wiérzch wdziewają świtkę z domowego grubego sukna, koloru czarnego.

Postaramy się następnie o rysunki typowe ze starców, młodzieży, kobiét i dziewcząt ukraińskich.

Trzeci rysunek (zob. str. 280) udzielony nam został łaskawie przez p. Fabiańskiego, b. ucznia petersburgskiéj akademii sztuk pięknych; wyobraża on *ruiny cerkwi św. Bazylego, w Owruczu na Polesiu wołyńskiém.* Owrucz jest dziś małém powiatowém miastem, a opasany borami i błotami, wyraża w zupełności poleską okolicę. Drogi doń ciągną się przez piaski i groble, zalewane wiosenną powodzią; lud ubogi, mieszka po większéj części w chatach kurnych, a pola orne, w stosunku do ukraińskich, wyglądają jak grzędy. Lasy są głównem źródłem dochodów, a dla myśliwych są tu knieje pełne zwierzyny. Życie tu ubogie, pełne trudów, kraj tęskny, ale malowniczy na wiosnę, gdy te bory i brzozy podtopią wody.

Kiedy na stepach wojny i tatarskie napady niszczyły ludność lub je z żyznych wypłaszały krain, tu się chronili ludzie od miecza, ognia i jasyrów, i w tych niedostępnych moczarach znajdowali przytułek. Ztąd kraj ten poleski przechował Polsce najdawniejsze rody, i do dziś dnia jeszcze są tu całe osady szlachty chodaczkowéj, jednego nazwiska i z jednego legitymujące się szczepu. Ze zmianą stanu rzeczy, odosobnienie się to miało złe skutki, bo szlachta tutejsza, bez oświaty i środków materyalnych, gnuśnieć zaczęła na bezpłodnych błotach, i z małemi wyjątkami, pozostała w tyle oświaty i współczesnego ruchu.

Owrucz był grodem Drewlan i ma kilka pamiątek historycznych, a z tych celniejsze są: mogiła księcia Olega, syna Światosława, i cerkiew św. Bazylego, któréj podajemy rysunek. Tak dawnéj budowy Polska niéma. Zbudował ją jeszcze Włodzimirz wielki. Z ruin ocalały dotychczas wieża, łuk od sklepienia przed kaplicą i malowania w oknach, wyobrażające świętych w stylu bizantyńskim. Drzwi, niegdyś sklepione wpółkole, później zostały zamurowane z góry i przedzielone belką poprzeczną. Zewnątrz, pomiędzy czerwoną i żółtą cegłą, wmurowane są czerwone polowe kamienie, do marmuru podobne, na których wyrobione są płaskorzeźbą wypukłości, albo też wyryte karby, schodzące się u dołu jak promienie wachlarza. W ścianach wewnętrznych wmurowane są różnéj wielkości garnki, zapewne dla lekkości, lub może dla powiększenia odgłosu w świątyni.

Podanie miejscowe dodaje, iż w czasie poświęcenia téj cerkwi przez Włodzimirza w. sproszono dla większéj okazałości na tę uroczystość kilka tysięcy okolicznych Drewlan. Zadziwił ich przepych wschodniego kościoła, a osobliwie śpiéw rozlegający się po sklepieniu. Po odbytéj uroczystości, udali się Drewlanie do starszego księdza i prosili aby cerkiew odemknął i pozwolił im także *huknąć* w niéj ze trzy razy przynajmniéj, a obiecywali za to od siebie i potomków swoich corocznie po kadzi miodu do cerkwi dawać. Ksiądz łatwo się zgodził, i mówią że przy końcu zeszłego jeszcze wieku trwał ten podatek, *hukowym* zwany,

Szczegóły powyższe o cerkwi wyjęliśmy z dzieła p. Przezdzieckiego pod tytułem: *Wołyń, Podole i Ukraina.*

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MUZYKA.

Drugi wielki koncert na rzecz Instytutu muzycznego warszawskiego, dnia 18 kwietnia b. r.

Otóż i druga wielka uroczystość muzyczna na dochód Instytutu minęła. Nie wchodząc drobiazgowo w szczegóły artystyczne, składające się na jéj wykonanie, to tylko wyznać należy, iż myśl posługiwania się utworami miejscowych kompozytorów, pod każdym względem pożądane skutki osiągnęła. Najprzód przekonaliśmy się, że nie braknie nam sił, by zaszczytne w sztuce muzycznéj zająć miejsce; powtóre, że jeżeli dotychczas rzadko niezmiernie zdarzało nam się posłyszéć coś większego z narodowych kompozycyj, to raczéj obojętność ogółu, może okoliczności, może wypływające ztąd zniechęcenie lub nieufność w własne siły, a prędzéj jeszcze apatya, mrożąca przez długi przeciąg czasu najlepsze chęci artystów naszych, paraliżująca bezwładnością każdy ich krok, były temu najważniejszą przeszkodą. Zwrot do sztuki miejscowéj, dopiéro od wystawienia na scenie naszéj *Halki* datować należy. Zapał z jakim przyjęto tę piérwszą po długiéj przerwie w narodowych dziejach muzyki pracę, pobudził, zelektryzował wszystkich, którzy w tece swojéj jakikolwiek owoc natchnień z dawna w ukryciu przechowywali; podniecił innych do schwycenia za pióro i dążenia w ślady za mistrzem, co piérwszy wytrwałością i znakomitym talentem drogę począł im torować. I odtąd artystyczna nasza czynność, otrząśnięta z uśpienia, coraz ważniejszemi objawami o istnieniu swojém i ruchu na rozmaitych drogach sztuki daje dowody. Założenie Instytutu muzycznego, z moralnéj znów strony wpływając na działalność ogółu mieszkańców naszego kraju, stało się powodem wytężenia powszechnych zasobów muzykalnych, jakiemi tylko rozporządzać byliśmy w możności, a z téj niezliczonéj massy koncertów, danych w celu zasilenia funduszami mającéj się wznieść wkrótce instytucyi, niby z przeglądów wojska przygotowującego się do stoczenia wielkiéj bitwy, nabraliśmy przekonania, że muzyka u nas, pomimo braku stosownego i systematycznego nauczania, nietylko posiada licznych zwolenników z dawna i z zamiłowaniem ją uprawiających, ale nie braknie jéj nawet ludzi prawdziwie wyższym talentem obdarzonych, którzy dostąpili już albo dostąpią z czasem niepośledniego w muzykalnéj hierarchii znaczenia. Komitet wyznaczony do urządzenia trzech uroczystości muzycznych na korzyść Instytutu, chcąc dać pole kompozytorom naszym do zaprodukowania dzieł swoich, wezwał wielu z nich, by nadesłali co który posiada gotowego do wykonania. Jakoż program piérwszéj już uroczystości istotnie z miejscowych utworów był złożonym; tak samo rzecz się miała z drugą, nieinaczéj zapewne będzie i z trzecią, zapowiedzianą na dzień 30 b. m. A więc, gdy nie zbywa na własnych zasobach, to dowód że pracowano jeżeli nie dla publiczności, to dla sztuki saméj, nawet może nieraz bez myśli publicznego dzieł swoich okazania, bo większa część tych utworów należy do kategoryi muzyki najmniéj u nas uprawianéj.

Zanim przystąpimy do bliższego ich ocenienia, przypatrzmy się najprzód dziełom lżejszéj, światowéj treści, jakie figurowały na programie drugiéj w cyrku uroczystości. Na czele ich stała uwertura z *Mazeppy* Alberta Sowińskiego; wspominaliśmy już w ostatniéj Kronice sztuk pięknych o samym autorze; w obecnéj pracy jego znajduje się wiele ciekawych szczegółów, lubo raczéj fantazyą nazwaćby ją wypadało aniżeli uwerturą, gdyż braknie jéj formy cechującéj zwykle tego rodzaju utwory. Śmiały w kolorycie instrumentalnym, Sowiński dowiódł, że jest kompozytorem umiejętnie władnącym technicznemi materyałami sztuki, że myśl jego, dążąc w sfery dramatu, swobodnie na wysokości zadania krążyć w nich potrafi. Z téj tedy uwertury wolno nam korzystnie sądzić o twórczym jego talencie, który pomiędzy obcymi zjednał mu już oddawna zasłużoną wziętość i uznanie. Daléj następował *Krakowiak* Szopena na fortepian, z towarzyszeniem orkiestry; ballada Mickiewicza *Trzech Budrysów*, z muzyką Moniuszki; uwertura (C mol) Münchheimera, pięknie pomyślana, ze smakiem i z ogniem instrumentowana; następnie arya na kontr-alt Kurpińskiego i dwie jeszcze piosnki Moniuszki i Nowakowskiego, odśpiewane przez młodą amatorkę pannę Adelę B.

Każdy z wyż wymienionych numerów zaleca się pięknemi artystycznemi szczegółami, o których nie pora teraz szeroko się rozpisywać; publiczność wykonanie ich okrywała oklaskami, z czego wnosić można, iż ocenić takowe umiała. Szczególniéj panią Leśkiewiczową, za prześliczne odśpiewanie aryi zasłużonego dobrze muzyce narodowéj kompozytora, z wielkiém współczuciem, nawet z zapałem przyjmowano. Panna Perron, utalentowana amatorka z Litwy rodem, wybornie odegrała *Krakowiaka*. Troschel również dobrze wypowiedział pełną oryginalności balladę twórcy Halki. Tak więc utwory światowe, wartością swoją wewnętrzną i sposobem ich wykonania, w zupełności usprawiedliwiły okazywane dla nich współczucie ogółu słuchającéj publiczności.

Rozpatrzmy teraz co program zawierał w sobie z dzieł religijnéj treści. Najprzód *Hymn do Boga Rodzicy* na same głosy, Józefa Nowakowskiego, *Beatus Vir*, psalm w stylu gregoryańskim Gabryela Rożnieckiego i *Paradisi Gloria*, wyjątek ze *Stabat Mater* Józefa Stefaniego, utwór szeroko pomyślany, z wspaniałą w końcu na chóry i orkiestrę fugą. Ustęp drugi był największym, bo sam wypełnił środkową część tego olbrzymiego koncertu; lecz wartością swoją wewnętrzną górował nad wszystkiemi z całego programu kompozycyami, słusznie więc tak obszerne pole mu zostawiono. Twórczy talent Gabryela Rożnieckiego, jest jeszcze dla nas w pewnym stopniu zagadką; słyszeliśmy kilka jego kompozycyj, mniéj więcéj zręcznie obrobionych, w baletach i w zarzuconym już melodramacie pod tytułem *Ewa*. Tyle jednak biegłości technicznéj, tyle wzniosłego i szlachetnego stylu, ile rozwinął w tym psalmie, nie spodziewaliśmy się znaleźć w nim zgoła. Wstrzymujemy się więc ze stanowczym sądem o tym kompozytorze, zanim wszechstronniéj zbadać go zdołamy, do czego zapewne nie zbraknie mu sposobności, gdy stale teraz pomiędzy nami zamieszkał i na polu naszéj muzyki gorliwie się krząta. Wracając do jego psalmu *Beatus Vir*, widzimy tam jak na tle gregoryańskiéj pieśni liturgicznéj, osnuł kontrapunkt w starym romańskim stylu *alla Palestrina*, oplatając nim w rozmaite kręgi temat podzielony na dwa chóry i dwie orkiestry, z których każda działa na swoję rękę, w pełnéj i zgodnéj harmonii, łamiąc swe linie, niby majestatyczny a pełen architektonicznych załomów budynek wspaniałéj bazyliki. Pojmujemy że te dwie orkiestry, znaczniejszą przestrzenią miejsca, w kościele na przykład, rozdzielone, muszą zaprawdę ogromny efekt sprawiać, gdy pomimo ścieśnionego miejsca i niekorzystnéj akustyki w cyrku, tak imponująco, tak wspaniale się przedstawiły. W każdym razie piękne to dzieło p. Rożnieckiego pragnęlibyśmy jeszcze kiedykolwiek usłyszéć, a niéma wątpliwości, że tak on jako i my sami wielebyśmy na tém zyskali.

Otrzymaliśmy następujące sprostowanie:

W numerze 28 Tygodnika Illustrowanego wyczytaliśmy w opisie kościoła w Stopnicy wiadomość, jakoby relikwiarz św. Magdaleny, przez Kaźmirza Wielkiego ofiarowany i własność kościoła w Stopnicy stanowiący, znajdował się w zbiorze śp. Zielińskiego w Kielcach. Że relikwiarz ten znajdował się kiedyś rzeczywiście w zbiorze p. Zielińskiego i nawet na wystawie starożytności w Warszawie był widziany

nikt temu nie przeczy, co jednak jeszcze nie dowodzi, żeby był własnością p. Zielińskiego, lub dotąd znajdował się w pozostałym po nim zbiorze. Owszem, z największą sumiennością mogę zapewnić czytelników Tygodnika, że wspomniony relikwiarz od lat już dwóch znajduje się ciągle w skarbcu kościoła stopnickiego, gdzie go w każdym czasie oglądać można. Jakim sposobem dostał się do rąk p. Zielińskiego, nie widzę potrzeby objaśniać; zamiarem moim było tylko sprostowanie wiadomości, przez autora opisu kościoła w Stopnicy podanéj.

Na myśli *pana W. z S.* dotyczące wychowania kobiét, po większéj części się godzimy. Myli się jednak autor, naznaczając kształceniu się téj połowy rodzaju ludzkiego kierunek zbyt praktyczny, zbyt wyłącznie, jak sam się wyraża, *kuchniczy*. Kobiéty pod wieloma dziś względami przodują mężczyznom na drodze postępu, zarówno moralnego jak intellektualnego; nie godzi się więc zagradzać im drogi do nabycia wiadomości, mogących, ku wspólnéj korzyści naszéj, rozwinąć te skarby uczucia i wyobraźni, jakie natura w sercu ich i głowie złożyła. Czy ta przewaga jest normalną, czy tylko stanem chwilowym, spowodowanym siłą nieprzyjaznych okoliczności? na to pytanie w obszernéj chyba rozprawie możnaby zadowalającą udzielić odpowiedź. W każdym jednak razie przywrócenia równowagi nie w poniżeniu jednéj, lecz w podniesieniu drugiéj strony szukaćby należało.

Pracę *pana Z. R. w K.* oceniamy słowami Schlegla: wiele tam jest i dobrego, i nowego; szkoda tylko że *dobre nie jest nowém*, a *nowe nie jest dobrém*

P P L de P. w Kr. i J D. w M. Wiérszy okolicznościowych i bajek w rodzaju nadesłanéj drukować nie możemy.

Panu Michałowi ..... z Inflant dziękujemy za nadesłane zadania szachowe; po sprawdzeniu zrobimy z nich użytek. Na przyszłość jednak upraszamy o oznaczanie figur sposobem powszechnie używanym. Z wiérszy korzystać nie będziemy.

Korrespondencye w rodzaju téj jaką otrzymaliśmy od *Szubrawca z Krakowa*, chyba w piśmie wyłącznie humorystycznem mogłyby znaleźć pomieszczenie.

Panu Wł. X. w Warszawie. Nadesłane próby, stosownie do życzenia pańskiego, zakomunikowaliśmy redakcyi Magazynu mód.

OKROPNA NOC

W GARDEROBIE TEATRALNÉJ.

(Ramotka bez pretensyi).

Było to w marcu 1850 r. Wesoło przebiegałem rynek krakowski, bo w owym pamiętnym dniu otrzymałem piérwsze honoraryum za utwór rozbujałéj wyobraźni. Mój skarb spoczywał w bocznéj kieszonce paletota, i ręka co chwila przyciskała pugilaresik, śledząc czy pieniądze znajdują się w owém schronieniu.

Nie sądź, luby czytelniku, że jestem chciwym; pieniądze mają u mnie tę tylko wartość, że mogą zaspokoić marne potrzeby żywota. Nie mam pretensyi być Rotszyldem ani Pereirą, a jeżeli onego czasu pragnąłem posiadać bogactwa, dla uszczęśliwienia wszystkich narodów na obu półkulach zamieszkałych, to żądania moje były skromne i ograniczały się na skromniejszéj jeszcze sumce ośmdziesięciu tysięcy milionów dukatów, co wedle obliczenia Leibnitza czyni kupkę złota, około dziesięciu tysięcy sążni kubicznych wynoszącą.

Radość więc moja nie pochodziła z brzydkiéj wady chciwości, ani z chęci kapitalizowania owych piętnastu reńskich mon. konw., ale raczéj ztąd, że otrzymałem, bodaj czy nie piérwszy, piérwsze pieniężne honoraryum za umysłową pracę. Wynagradzanie bowiem za psucie papieru, było naówczas tak niepraktykowaną rzeczą, że gdyby powiedziano że ów sławny wąż morski, o którym wtedy tyle pisały gazety, ukazał się w nurtach naszéj kochanéj Wisły, prędzéjbym temu uwierzył, jak że znajdzie się taki co za kilka arkuszy rękopisu da aż piętnaście reńskich srebrem.

Wspomione piętnaście reńskich wypłacono mi papierami, bo i srebro wtenczas było w naszéj stolicy bodaj czy nie rzadsze jak wąż morski, a nawet honorarya autorskie. Za jaką ramotę je otrzymałem, nie powiem, bo nie chcę zdradzać mojego incognito.

Ale szczęście ludzkie, to bańka mydlana: zachwyci chwilkę cudnemi barwami, i nagle pęknie pozostawiając kroplę nieczystych mydlin.

Któżby pomyślał, patrząc na twarz moję rozpromienioną weselem, że przed upływem dwudziestu czterech godzin, spotka mię niebezpieczeństwo, grożące zgubą ciału i duszy? Śmiejecie się,—a jednakże tak było.

Właśnie przebiegałem około apteki pod *oleandrem*, kiedy nagle usłyszałem głos jakiś wołający mię po imieniu. (Radebyście piękne czytelniczki o niém się dowiedzieć, ale nic z tego nie będzie, przybieram wzorem wielu mych starszych braci pseudonim i nazywam się Makary).

— Makarciu! głos powtórzył.

Oglądam się i spostrzegam ukochanego towarzysza szkolnych pustot.

Był on niegdyś generałem ślizgawek, najlepiéj gniótł *sera* (znany figiel szkolny), i znakomite robił szkice atramentem na białych wywijanych kołnierzykach kolegów; ale dziś zaledwiem go poznał: schudł, zbladł i miał taką minę kwaśną, jak nieboszczyk Xerxes nazajutrz po salamińskiéj bitwie.

Zamiast go przywitać, zawołałem:

— A tobie co się stało?

— Nic, odrzekł.

— Ale gdzież tam nic, kiedy wyglądasz jak gdybyś zgrzebło połknął.

— Za to ty jesteś wesoły.

— Ba, ja to co innego, odpowiedziałem; ja otrzymałem honoraryum za... ale mniejsza o to za co, dość że jestem wesoły jak Rabelais; ale co ty, to mi zupełnie przypominasz kawalera smutnéj postaci.

— Nie żartowałbyś z mego smutku, gdybyś wiedział co się dzieje w méj duszy, odrzekł Bolesław i straszliwie westchnął.

— Cóż ci u licha? zawołałem. Bronisławie; jeżeli Boga kochasz, mów! Może ci potrzeba pieniędzy, na masz, weź moje honoraryum i kwita.

— Dziękuję ci, rzekł odsuwając pugilaresik z monetą, mnie pieniędzy nie potrzeba.

— Bronisławie, powierz mi swój smutek, może na niego wynajdziemy lekarstwo.

— Lekarstwo.... powtórzył i rozśmiał się gorzko. Dla mnie niéma lekarstwa. Gdybyś znał tę głębią rospaczy która mnie pożera, boleść bez wytchnienia, noc bez snu, dzień bez chwilki spokojności. Wschodzące słońce przytłacza brzemieniem smutku moje zbolałe serce. O niech cię Bóg zachowa od takich cierpień mój bracie!

Serce mi zabiło silniéj, zadrżałem, bo w istocie na jego twarzy malowała się głęboka rospacz. Staliśmy przez chwilę, nic do siebie nie mówiąc.

Nakoniec ja, który kiedyś z pilnością słuchałem wykładu psychologii i fizyologii, dostrzegłszy że Bronisław prawą ręką silnie przyciskał lewą stronę piersi, krzyknąłem!

— Ha! jestem w domu, zakochałeś się!

Twarz Bronisława w jednéj chwili stała się ponsową; widocznie złapałem go na gorącym uczynku.

— Chodźmy, rzekł po chwili, chodźmy! Powiem ci wszystko... tu za wiele ciekawych.

Szybko tedy, w milczeniu, paląc cygara, przebiegliśmy Mikołajską i Wesołą ulicę i stanęliśmy w alei prowadzącéj ku Mogilskiéj rogatce.

Alea ta jest miejscem przechadzki tych z Krakowian, którzy nie chcą zapuszczać się w dzikie załomy skał Panieńskich, lub wdzierać się na szczyt mogiły panującéj nad grodem.

Kiedy maj pozieleni drzewa, gdy akacye rozkwitną, jakże roskosznie dumać w tém lubém ustroniu. Jeden z naszych pisarzy; ślicznie upoetyzował wyznanie piérwszéj miłości pod rozkwitłemi bzami; ja przenoszę akacye, bom pod ich cieniem tego szczęścia doznał.

Znaleźli się jednak ludzie co nam zniszczyli piękność tego miejsca. Grzéch ten odpuść im Panie, bo ja nie mogę.

Nie będę wam opisywał, wzorem starszéj méj braci, jaki wiatr wiał naówczas, jaka na niebie panowała konstellacya, ani jakie napowietrzne zjawiska i ziemskie istoty przysłuchiwały się naszéj rozmowie. Wiem tylko to, żem zziąbł porządnie, słuchając rozwlekłego opisu przygód miłosnych mojego kolegi, z którego w końcu wyciągnąłem tę kwintessencyą, że Bronisław na piękne oszalał, rozkochawszy się śmiertelnie w jakiejś hrabiance z pod Karpat, mającéj około 600,000 złp. posagu.

Wszystko poszłoby jak z płatka. Bronisław był szlachcicem dobréj krwi, więc co się tyczy korony hrabiowskiéj, toby ją tam jeszcze jaki milionik skonwinkował; ale w tém najgorsza alternatywa losu, że nie wiedzieliśmy zkąd wziąć tego miliona.

— I cóż poczniesz? rzekłem, nie wiedząc jak mu radzić.

— Umrę! wyrzekł tak grobowo, żem mu uwierzył.

Śmiejesz się, zimny czytelniku, z mojéj łatwowierności, ale wiedz o tém, że i mnie raz w życiu ta szalona myśl napadła, i gdybym ją był w wykonanie wprowadził, nie czytałbyś pewnie niniejszéj ramoty.

Chciałem mu perswadować.

— Daj pokój, rzekł niechętnie Bronisław, ty się na tém nie znasz. Przysięgam ci, że albo się z Cesią ożenię, albo sobie życie odbiorę.

— Ach pieniądze, te przeklęte pieniądze! zawołałem tragicznie. Cóżbym dał za to, gdybym was mógł uszczęśliwić.

— Hm.... a jednakże.... cedził przez zęby Bronisław.... gdybyś chciał....

— Co, gdybym chciał? spytałem ciekawie.

— At, szkoda i mówić.

— Bronisławie!

— Dajmy temu pokój.

— Słuchajno, rzekłem zniecierpliwiony, nie nato marznę od trzech godzin pod botanicznym ogrodem, żebyśmy naszę rozmowę zakończyli ni w pięć ni w dziewięć. Jeżeli wiész sposób którym mógłbym ci pomódz, to mów, a nie, to strzelaj sobie w łeb albo się zarzynaj, choćby i zaraz.

— Nie gniewaj się Makarciu, ale do tak ważnéj sprawy jesteś nieco za lekki.

— O ba! krzyknąłem, to ty mnie jeszcze nie znasz. Umiem ja być seryo i bardzo seryo, dowiodłem tego nieraz, a jeżeli nie wierzysz, zapytaj się tych co mnie nie znają, oni ci więcéj powiedzą. Ja się sam chwalić nie lubię, bo wiész że *propria laus sordet*.

— Ależ bo widzisz, rzekł na wpół przekonany przytoczonym dowodem Bronisław, zajrzéć w oczy szatanowi, to nie tak łatwo jak wypalić cygaro.

Spojrzałem na koleżkę, śledząc czy przypadkiem miłość nie sprawiła mu rozmiękczenia mózgu, jednakże patrzył rozumnie a seryo.

— Wahasz się, rzekł, poznawszy moje niedowierzanie.

— Ależ bo pleciesz jak stary Piekarski.

— Daję ci słowo że szczéra prawda.

— Mów więc, o co idzie?

— Przyrzecz mi najprzód, że nikomu nie powiész tego, z czém ci się zwierzę.

— Masz moję rękę, odpowiedziałem, wyciągając prawicę.

— Powtóre, że nie cofniesz się, chociażby nam największe niebezpieczeństwo groziło.

— Zgoda, lecz pod warunkiem, że twój zamiar najmniejszéj plamy na nas nie ściągnie.

— Byłżebym jéj godnym? zawołał żałośnie.

— A więc dobrze, towarzyszę ci, chociażby po odbiór cerografu do Lucypera.

— I nie powiész nikomu?

— Nikomu.

I w istocie dotrzymałem słowa, bo dotąd nikomu ani słowa nie *powiedziałem*, a w warunkach umowy, jak to widzicie piękne czytelniczki, o *pisaniu* wcale wspomnienia nie było.

Kiedym przyobiecał Bronisławowi moje współdziałanie, radość zabłysła mu w oczach.

— Makarciu, zawołał wesoło, nie traćmy czasu. Jutro porównanie dnia z nocą, a więc do dzieła!...

Czy on nie zamierza odlewać kul zaczarowanych, pomyślałem sobie, przypominając mimo woli Wolnego strzelca.

— Zgoda, odrzekłem, bierzmy się do dzieła!

— Czy dawno byłeś u spowiedzi?

— A cóż to ma za związek z naszym zamiarem? zapytałem zdziwiony.

— Jutro pójdziemy obydwa.

— Jutro?

— To najpiérwszy warunek.

— Dobrze, odrzekłem.

— Oto masz złotówkę, zmień ją na same grosze i przynieś z sobą rano o godzinie siódméj do kościoła panny Maryi.

— Przyniosę.

— Nakoniec pozałatwiaj dziś interesa, bo gdyby..

— Bo gdyby co? zawołałem.

— Bo gdyby nam szatan łby pourywał, to jutro będzie zapóźno.

Spojrzałem miłosiernie na koleżkę, gdyż mi się w prostocie ducha zdawało, że go napada obłąkanie.

Wtém Bronisław wskoczył do przejeżdżającego fiakra i rzekł:

— Jutro o siódméj w kościele, pamiętaj!...

— Będę.

Fiakr odjechał.

Stałem jeszcze przez kwadrans, gubiąc się w domysłach. Urządzenie interesów... urwanie łba.... spowiedź... złotówka.... Wszystko to sprawiło tak ogromny przewrót w moim mózgu, iż nagle jeść mi się zachciało, wbiegłem więc do Aleksandrowéj na kawę, obiecując sobie na dzień jutrzejszy jakąś nieznaną lecz cudowną rozrywkę.

II.

Noc szybko przeminęła, o godzinie 7éj spotkaliśmy się w nawie bocznéj olbrzymiéj świątyni.

Bronisław poszedł do zakrystyi prosić o spowiednika, ja przez ten czas odczytywałem nagrobki.

Wkrótce powrócił i rzekł:

— Pójdźmy, ksiądz czeka.

— Idź sam mój Bronisławie, ja pójdę do kapucynów, a za godzinkę powrócę tutaj.

—Dlaczegóż do kapucynów?zapytał Bronisław z pewném niedowierzaniem, wszakżeż i tu można się wysłuchać...

— O nie, nie, mój Bronisławie, tam jest ksiądz Wojciech, mój zwykły spowiednik, do innego nie pójdę.

— Ha, jak chcesz, odpowiedział wzruszywszy ramionami.

Wymknąłem się z kościoła.

Przykro mi było zwodzić biédnego chłopca, jednakże nie zdawało mi się stosownem nadużywać obrządku religijnego dla jakiéjś nieznanéj pustoty.

Obszedłem dwukrotnie rynek krakowski, przysłuchałem się gorącéj kłótni dwóch przekupek na szczepańskim placu, przypatrzyłem się koziołkom ulicznika i defiladzie wojska na Błonie. Nakoniec, wypaliwszy dwa cygara, wróciłem do kościoła.

Bronisław czekał już na mnie.

Pomodliwszy się nieco, wyszliśmy z kościoła.

—Czyś gotów? zapytał.

—Już, odpowiedziałem bez zająknięcia.

—Idźże więc na lewo, ja pójdę w prawo; każdemu z napotkanych ubogich dasz grosz, tylko pamiętaj nie więcéj; zejdziemy się przy spalonym moście.

Odszedł z miną uroczystą. Patrzyłem chwilkę za nim, a potém rozpocząłem polowanie na dziadów.

Oglądam się dokoła, ubogich nie widać, prócz tych co etatem na te posady zamianowani, siedzieli w kruchcie kościelnéj, pusząc się ze swoich szaraczkowych płaszczów.

A cóż takim kapitalistom po nędznym groszu, pomyślałem, trzeba iść daléj.

ZWALISKA CERKWI W OWRUCZU.
Rysował Podbielski, podług Fabianskiego, rytował Müller w drzeworytni Tygodnika.

Na rogu Siennéj ulicy stał oparty o szarą kamienicę wysoki i bardzo brzydki dziad. Rysy jego i broda zupełnie przypominały Judasza z wieczerzy Leonarda da Vinci, a skręcona noga, Mefistofelesa. Dziad ten taką wzbudził we mnie głęboką odrazę, żem mu dał całą złotówkę. Wysoka ta a całkiem niespodziewana gratyfikacya takie na niém sprawiła wrażenie, że krzyknąwszy: „niech ci Bóg zapłaci święta osobo!“ posztykutał prosto do szynku na Barczowe.

Przy spalonym moście czekałem przeszło pół godziny.

Nadszedł wreszcie Bronisław i spytał:

— Rozdałeś jałmużnę?

— Rozdałem.

— Po groszu każdemu?

— Umhu...

— Idźże teraz do domu, a wieczorem o dziewiątéj przyjdź do cukierni Redolfiego, będę czekał na ciebie.

— W cukierni?

— Tak, a przynieś z sobą gromnicę, bo ja mam tylko jednę, a trzeba dwóch, i palmę z kwietniéj niedzieli, o resztę ja się postaram.

— A to na co?

— Dowiész się wieczorem.... jest jeszcze jedna trudność, któréj dotąd zaradzić nie potrafiłem... może ty mi dopomożesz?

— O co chodzi? tylko się spiesz, bom jeszcze nie jadł śniadania, a kiedy jestem głodny, nie lubię rozmawiać.

— Do wykonania naszego dzieła potrzeba miejsca, gdzieby nie było słychać ani ludzkiego głosu, ani koguciego piania.

— Rychło wczas o tém myślisz. Do wieczora niedaleko, gdzież szukać miejsca takiego?

— W takim razie wszystko cośmy dotąd zrobili byłoby napróżno.

— Szkoda i złotówki com dał dziadowi.

— Jakto? jednemu? zawołał przerażony Bronisław.

— Dziadom, chciałem mówić... odpowiedziałem nieco zmięszany, a chcąc go zagadać, rzekłem z pośpiechem: ale wiész co, mam myśl wyborną.

— Jakąż? mów prędzéj!

Na nieszczęście téj myśli nie mogłem złapać.—Myśl cudną, powtórzyłem, miejsce doskonałe....

— Ależ mów prędzéj, na miłość boską!

— Z początku myślałem o ogromnéj sali pogorzałego pałacu Wielopolskich; ale światło w nocy w opustoszoném miejscu, mogłoby sprowadzić policyantów, i wielkie dzieło skończyłoby się na odwachu. Potém rzekłem, pocąc się i klnąc w duszy moją tępą imaginacyą, potém przyszedł mi na myśl pusty kościół św. Katarzyny, lecz tam trudno się dostać...

— Ależ nudny gaduło, powiédz prędzéj, jakie to miejsce!

— Mam! już mam! zawołałem z tryumfującą miną. Najlepiéj będzie w *garderobie teatralnéj*.

— Ależ teatr leży w samym środku miasta i przecież w nim ludzie mieszkają.

— Aktorowie mieszkają gdzieindziéj, w samym teatrze mieści się tylko dyrektor, na drugiém piętrze, w oddaleniu, w sieni zaś mieszka stróż Sebastyan. Jestto człowiek cichy, spokojny a biédny, za złotówkę będzie siedział w swéj budce całą noc jak szczur w jamie. Że zaś tam niéma koguta, ręczę głową, bo dyrektor jada w mieście, a Sebastyana nie stać na hodowanie drobiu.

— Zgoda, ale jak się tam dostaniemy? zapytał Bronisław.

— W tém moja rzecz.

— A więc o dziewiątéj.

— Tak.

— U Redolfiego.

— Tak... do widzenia.

— A nie zapomnij o gromnicy.

— Dobrze... bądź zdrów.

— I przynieś z sobą jaką książkę religijnéj treści.

— Przyniosę.

— I palmę święconą.

— Dobrze, dobrze, odpowiedziałem i odszedłem szybkim krokiem, lękając się przedłużenia rozmowy przy pustym żołądku. *(Dok. nast.)*

SZACHY.

ZADANIE XXIII

(*S. B. w Warszawie*).

Białe zaczynają i dają mata za czwartém posunięciem.

Czarne.

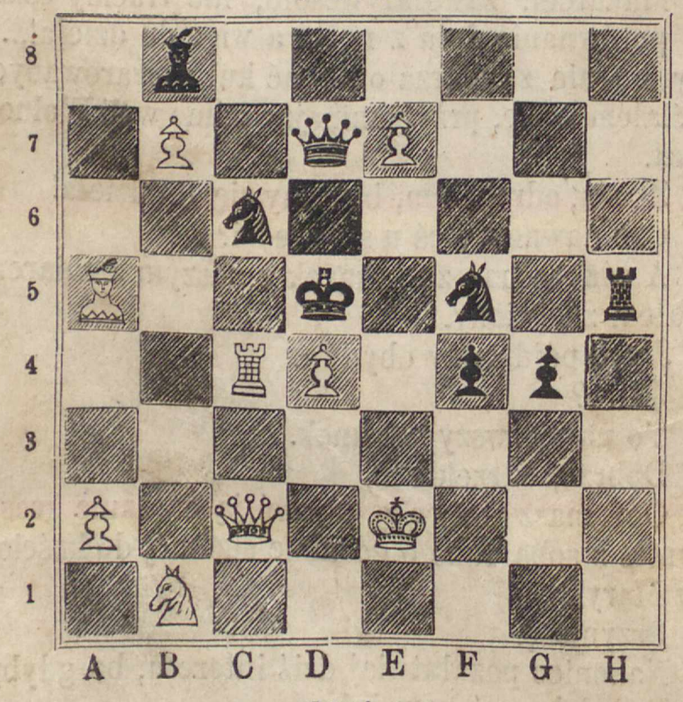

Białe.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 30.

Nie wódka zabija człowieka, ale jéj ilość użyta bez miary.

REBUS.

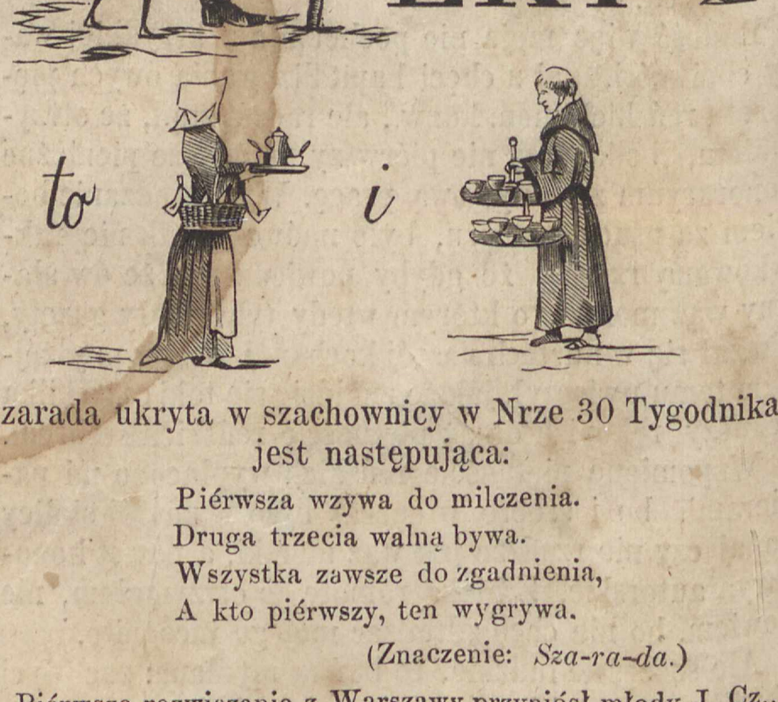

Szarada ukryta w szachownicy w Nrze 30 Tygodnika jest następująca:

Piérwsza wzywa do milczenia.
Druga trzecia walną bywa.
Wszystka zawsze do zgadnienia,
A kto piérwszy, ten wygrywa.

(Znaczenie: *Sza-ra-da.*)

Piérwsze rozwiązanie z Warszawy przyniósł młody J. Cz., uczeń gimnazyum tutejszego, ten sam który już raz otrzymał nagrodę. Piérwsze rozwiązanie z prowincyi nadesłał p. Ksaw. S. z Jabłonny. Nagrody w książkach zostały rozwiązującym doręczone.

W Drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 16 (28) kwietnia 1860 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*

Redakcya przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391 w domu PP. Wizytek.